



**ILF
&
PIETROW**



KRZESEL

Ilia Ilf, Eugeniusz Pietrow

DWANAŚCIE KRZESEŁ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-12-2

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Na okładce: Sobór Wasyla na Placu Czerwonym w Moskwie

Tłumaczenie: Halina Pilichowska

Spis treści

- [Rozdział 1. Zakład pogrzebowy „Witajcie”](#)
- [Rozdział 2. Zgon pani Pietuchowej](#)
- [Rozdział 3. Podróż w nieznane dale](#)
- [Rozdział 4. Wielki kombinator](#)
- [Rozdział 5. Brylantowe opary](#)
- [Rozdział 6. Ślady „Tytanika”](#)
- [Rozdział 7. Niebieski ptaszek](#)
- [Rozdział 8. Gdzie są pańskie bujne kędziory?](#)
- [Rozdział 9. Papuga, ślusarz i wróżka](#)
- [Rozdział 10. Alfabet – zwierciadło życia](#)
- [Rozdział 11. Upalna kobieta – marzenie poety](#)
- [Rozdział 12. Związek Miecza i Lemiesza](#)
- [Rozdział 13. Bursa imienia Mnicha Bertholda Schwarza](#)
- [Rozdział 14. Obywatele – respekt przed tapczanami!](#)
- [Rozdział 15. Europejskie głosowanie](#)
- [Rozdział 16. Od Sewilli do Grenady](#)
- [Rozdział 17. Egzekucja](#)
- [Rozdział 18. Dzikuska Lalusia](#)
- [Rozdział 19. Awessałom Władimirowicz Iznurenkow](#)
- [Rozdział 20. Klub automobilistów](#)
- [Rozdział 21. Rozmowa z nagim inżynierem](#)
- [Rozdział 22. Dwie wizyty](#)
- [Rozdział 23. Przedziwny koszyczek](#)
- [Rozdział 24. Kurka i zamorski kogucik](#)
- [Rozdział 25. Autor Gawryliady](#)
- [Rozdział 26. Potężne pióro. – Poszukiwacze złota.](#)
- [Rozdział 27. W Teatrze Kolumba](#)
- [Rozdział 28. Czarowna noc na wodzie](#)
- [Rozdział 29. Uparci poszukiwacze](#)
- [Rozdział 30. Wygnanie z raju](#)
- [Rozdział 31. Międzyplanetarny kongres szachistów](#)
- [Rozdział 32. I in-n...!](#)
- [Rozdział 33. Widok na malachitową kałużę](#)
- [Rozdział 34. Zielony Przylądek](#)
- [Rozdział 35. Żaloszny demon](#)
- [Rozdział 36. Trzęsienie ziemi](#)
- [Rozdział 37. Skarb](#)

Rozdział 1

Zakład pogrzebowy „Witajcie”

Tak wiele zakładów fryzjerskich i biur pogrzebowych było w powiatowym mieście N., że można było przypuszczać, iż mieszkańcy miasta jedynie po to się rodzą, by ogolić się, ostrzyć, skropić głowę perfumami i rychło po tym umrzeć.

W istocie jednak w tym mieście ludzie rodzili się, strzygli i umierali dość rzadko. Spokojnym, jasnym nurtem płynęło życie miasta. Wiosenne noce były upojne, w blaskach księżycy jak antracyt lśniło błoto i cała młodzież miejscowa na zabój kochała się w sekretarce miastkomu (komitetu miejscowego), której to oczywiście nie przeszkadzało w egzekwowaniu składek członkowskich.

Problemy miłości i śmierci bynajmniej nie wzruszały Hipolita Matwiejewicza Worobianinowa, mimo iż zajmował się nimi z urzędu codziennie od dziewiątej rano do piątej po południu z przerwą na drugie śniadanie.

Z rana Hipolit Matwiejewicz wypijał porcję gorącego mleka, które mu Klaudia Iwanowna podawała, po czym z na wpół ciemnego domku wychodził na szeroką, jasnym wiosennym światłem zalaną ulicę imienia towarzysza Biurokracego. To była chyba najweselsza ulica z tych, jakie spotkać można w małym powiatowym mieście. Z lewej strony za zielonymi oknami srebrzyły się trumny zakładu pogrzebowego „Nimfa”, z prawej zaś przez małe szybki, w których kit się wykruszył, widać było dębowe, smutnie zakurzone trumny mistrza cechu karawaniarzy Bezenczuka. Trochę dalej fryzjer „Pierre i Jean” głosił, że ofiarowuje swym klientom manicure i ondulację. Nieco dalej znajdował się hotel z zakładem fryzjerskim, a za nim, na otwartym placu żółty cielak oblizywał czule przybity do samotnie sterczącej ściany zardzewiały szyldzik:

Zakład pogrzebowy „Witajcie”

Przedsiębiorstw pogrzebowych było wprawdzie w miasteczku bardzo dużo, ale klientelę miały niezamożną. Firma „Witajcie” zbankrutowała jeszcze na trzy lata przed przyjazdem Hipolita Matwiejewicza do miasta N., a przedsiębiorca pogrzebowy Bezenczuk pił jak szewc i próbował nawet swego czasu zastawić w lombardzie swą jedyną trumnę wystawową.

W mieście N. ludzie rzadko umierają, a Hipolit Matwiejewicz wiedział o tym lepiej od innych, ponieważ pracował w ZAGS-ie (urząd stanu cywilnego), gdzie prowadził dział rejestracji zgonów i ślubów. Stół, przy którym Hipolit pracował, wyglądał jak stara płyta grobowa. Słabe nogi stołu ugięły się pod ciężarem teczek wypchanych aktami, z których można było dowiedzieć się o rodowodzie mieszkańców miasteczka i o drzewach genealogicznych, które wyrosły na ubogiej glebie powiatu.

W piątek 15 kwietnia 1927 roku Hipolit Matwiejewicz jak zwykle obudził się o wpół do ósmej i od razu wpakował na nos staroświeckie złote binokle.

– *Bonjour!* – zanucił wesoło, spuszczając nogi z łóżka. „*Bonjour*” oznaczało, że Hipolit Matwiejewicz wstał z łóżka w dobrym humorze. Natomiast gdy po przebudzeniu mówił „*Guten Morgen*”, było to niechybną oznaką, że dokucza mu wątroba, że pięćdziesiąt dwa lata to nie drobnostka i że w powietrzu pełno jest wilgoci.

Hipolit Matwiejewicz wsunął pałkowate nogi w spodnie, pamiętające jeszcze lepsze czasy, i włożył w krótkie, miękkie buty o wąskich, kwadratowych szpicach.

Po pięciu minutach zdołała go kamizelka, upstrzona maleńkimi srebrnymi gwiazdami, i alpagowa marynarka. Strzepnął z siwych włosów pozostałe po myciu krople wody, nastroszył zawadiacko wąsy, dotknął niezdecydowanie szorstkiego podbródka, przyszcotkował włosy i z uprzejmym uśmiechem wyszedł na spotkanie wchodzącej do pokoju teściowej swej – Klaudivy Iwanowny.

– *Mon cher* – huknęła – miałam dziś zły sen. – Przy czym wyraz „sen” wymówiła z francuska.

Hipolit Matwiejewicz spojrział na teściową z góry na dół. Mógł bez trudu tak patrzeć na nią, jego wzrost bowiem sięgał stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów.

Klaudia Iwanowna ciągnęła dalej:

– Widziałam we śnie nieboszczkę Marię z włosom rozwianym i w złotej opasce na biodrach.

Klaudia Iwanowna grzechotała jak karabin maszynowy, aż chybotwała się mosiężna lampa wraz z kulą i zakurczonym abażurem.

– Jestem przerażona. Obawiam się jakiegoś nieszczęścia.

Ostatnie słowa wymówiła tak, że Hipolitowi Matwiejewiczowi włosy na głowie stanęły dęba. Zmarszczył się i odrzekł spokojnie:

– Nic się nie stanie. Czy woda już zapłacona?

Okazało się, że nie była zapłacona, a kalosze też nie były umyte.

Hipolit Matwiejewicz nie lubił swojej teściowej. Klaudia Iwanowna była głupia i nawet jej wiek nie rokował nadziei, że kiedykolwiek zmądrzeje. A skąpa była – do obrzydliwości. Jedyne ubóstwo zięcia nie pozwalało w pełni rozwinąć się tej skłonności.

Obdarzona była tak donośnym głosem, że mógłby go chyba pozazdrościć jej Ryszard Lwie Serce.

A nadto – i to było najgorsze – Klaudia Iwanowna miewała sny. Stale śniły się jej dziewczęta w opaskach i bez opasek, konie w żółtych, dragońskich czaprakach, stróże, grający na harfach, archaniołowie, w stróżowskich kozuchach czuwający po nocach, druty od pończoch, które jak gdyby nigdy nic hasały sobie po pokojach.

Klaudia Iwanowna była przesadną kobietą. Oprócz tego wyrosły jej pod nosem wąsy, które wyglądały jak pędzelki do golenia.

Hipolit Matwiejewicz wyszedł z domu z lekka podenerwowany.

Przytulony do drzwi swego niefortunnego zakładu, stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach mistrz cechu karawaniarzy Bezenczuk.

Pod wpływem ciągłych bankructw handlowych i systematycznego zażywania gorących napojów oczy naszego mistrza świeciły żółtym blaskiem, jak u kota, i płonęły ogniem.

– Witam drogiego gościa! – zarechotał na widok Hipolita Matwiejewicza. – Dzień dobry!

Hipolit Matwiejewicz uprzejmie uchylił poplamionego filcowego kapelusza.

– Jak zdroweczko czcigodnej teściowej?

– M... mm... m... – burknął niechętnie Hipolit Matwiejewicz i wzduszył ramionami, minął zakład Bezenczuka.

– Niech jej Bóg da zdrowie – powiedział z goryczą Bezenczuk. – Same straty, takie to już czasy.

I znów z rękami skrzyżowanymi na piersiach oparł się o drzwi.

Z kolei nie omieszkało zatrzymać Hipolita Matwiejewicza przed zakładem pogrzebowym „Nimfa”.

Było trzech właścicieli „Nimfy”. Skłonili się przed Hipolitem Matwiejewiczem i zgodnym chórem spytali o zdrowie teściowej.

– Zdrowa, zdrowa – odpowiedział Hipolit Matwiejewicz – czy to jej czego brak? Dziś ukazała się jej we śnie złocista dziewczica z włosom na wiatr rozwianym. Takie to, uważacie, miewa sny.

Trzy „nimfy” zerknęły ku sobie i głośno westchnęły.

Na te wszystkie rozmowy Hipolit Matwiejewicz zmarudził nieco czasu i wbrew swym zwyczajom przyszedł do biura, gdy zegar wiszący nad wezwaniem: „Kończ sprawę i żegnaj!” wskazywał już pięć minut po dziewiątej.

Hipolit Matwiejewicz wyjął z szuflady biurka szarą, wojskową poduszczkę, położył ją na krześle, nadał wansom prawidłowy kierunek (równoległy do biurka), usiadł na poduszcze, górując nieco nad swymi trzema współpracownikami. Hipolit Matwiejewicz nie bał się hemoroidów, lecz bał się o całość swych spodni i dlatego właśnie używał szarego wojskowego.

Te wszystkie manipulacje sowieckiego dygnitarza obserwowało nieśmiało dwoje młodych ludzi, młodzieniec i dziewczica.

Młodzieniec w sukiennej, watomanej marynarce był kompletnie zgnębiony urzędową atmosferą, zapachem atramentu, ochrypłym, miarowym tykaniem zegara, w szczególności zaś surowym wezwaniem: „Kończ sprawę i żegnaj!”. Mimo iż swej sprawy młodzieniec w marynarce

dotąd jeszcze nie zaczął, rad by najwidoczniej czym prędzej urząd ten pożegnać.

Sprawa, która go tu sprowadziła, zaczęła wydawać mu się tak błaha, że wstyd mu było po prostu niepokoić nią tak godnego, szpakowatego obywatela, jakim był Hipolit Matwiejewicz. Hipolit Matwiejewicz również wiedział, że przybyły ma drobną sprawę, że może z nią poczekać, toteż otworzył skoroszyt numer dwa i pogrążył się w czytaniu. Dziewica w długim żakiecie, oblamowanym błyszczącą, czarną taśmą, porozumiała się szeptem z młodzieńcem i – zawstydzona – podeszła powoli do Hipolita Matwiejewicza.

– Towarzyszu – powiedziała – gdzie tu można...

Młodzian w marynarce odetchnął z ulgą i niespodzianie wypalił:

– Zarejestrować!

Hipolit Matwiejewicz spojrzał uważnie na barierę, za którą stała para.

– Narodziny? Zgon?

– Ślub – wyjaśnił zbity z tropu młodzian i nieporadnie rozejrzał się dokoła.

Dziewica parsknęła śmiechem. Najgorszy bywa początek.

Hipolit Matwiejewicz ze zrećznością żonglera zabrał się do roboty.

Starczym piśmem wpisał do grubych foliałów nazwiska nowożeńców, z namaszczeniem przesłuchał świadków, których oblubienica sprowadziła na prędcę z ulicy, po czym długo, z przejściem chuchał na podłużną pieczętkę i uniósłszy się z krzesła, odciskał ją na wystrzępionych paszportach.

Wziął od nowożeńców dwa ruble i wydawszy im pokwitowanie, rzekł z uśmiechem: „Za dopełnienie sakramentu” – przy czym wstając, ukazał swą zaprawdę imponującą postać (w dawnych czasach zwykł był nosić gorset). Promienie słońca złościły się mu na ramionach jak epolety. Wyglądał nieco śmiesznie, lecz niezwykle uroczyście. Światło załamywało się w podwójnie wklęsłych szklach. Młodzi stali potulnie jak jagniątka.

– Młodzi towarzysze – rozpoczął napuszoną przemowę Hipolit Matwiejewicz – pozwólcie złożyć sobie gratulacje z okazji, jak to dawniej mówiono, zawarcia dozgonnych ślubów. Bardzo, b-a-a-a-rdzo się cieszę, gdy widzę takich jak wy, młodych ludzi, którzy, trzymając się za ręce jak wy, dążą do osiągnięcia nieśmiertelnych ideałów. Bardzo się cieszę!

Wygłosiwszy tę tyradę, Hipolit Matwiejewicz uściśnił nowożeńcom ręce, po czym – bardzo z siebie zadowolony – usiadł i kontynuował przeglądanie dokumentów zawartych w skoroszycie numer dwa.

Praca w biurze już się skończyła. Na sąsiedniej biało-żółtej dzwonnicy uderzono ze wszystkich sił w dzwony. Zadrżały szyby. Z dzwonnicy wysypały się wrony. Porajcowały na rynku i odfrunęły. Zimny mrok zapadał nad opustoszałym placem.

Wszyscy, którzy mieli się urodzić tego dnia – urodzili się i zostali wniesieni do grubych foliałów. Wszyscy, którzy chcieli pobrać się – pobrali się i również zostali wniesieni do grubych foliałów. I jedynie tylko, jakby na złość żadnym żeru karawaniarzom, nie było ani jednego śmiertelnego wypadku. Hipolit Matwiejewicz złożył akta, schował do szuflady wojłokową poduszeczkę, rozczesał grzebykiem wąsy i marząc o rozkosznie gorącej zupie, zabierał się już do wyjścia, gdy wtem drzwi biura rozwarły się i na progu stanął mistrz cechu karawaniarskiego, Bezenczuk.

– Witam drogiego gościa – uśmiechnął się Hipolit Matwiejewicz. – Czym mogę służyć?

Zakazana gęba mistrza Bezenczuka promieniała w mroku, lecz trudno mu było cokolwiek wykrztusić.

– Słucham – zniecierpliwionym głosem powiedział Hipolit Matwiejewicz.

– Czyż to, co daje „Nimfa” – niech ją jasny piorun strzeli – można nazwać towarem?... – zaczął mętnie nasz mistrz. – Czyż „Nimfa” może zadowolić klienta? Gdy pomyśli się tylko, ile taka trumna pochłania drzewa...

– Co to kiego? – przerwał Hipolit Matwiejewicz.

– „Nimfa” – pomyśleć tylko!... Taki kramik musi wyżywić aż trzy rodziny. Toż to i materiał tandetny, i wykończenie gorsze, i farba wodnista, niech to wszystko jasny piorun strzeli! A moja firma solidna, stara. Egzystuje od 1907 roku. Moje trumienki – dla amatora, paluszki, powiadam

wam, lizać...

– Zwariowałaś czy co? – dobrotliwie zapytał Hipolit Matwiejewicz i skierował się ku wyjściu. – Bzika jeszcze dostaniesz przy tych trumnach.

Bezenczuk uprzedzająco grzecznie otworzył drzwi, puścił naprzód Hipolita Matwiejewicza, a sam przyczepił się do niego, dygocąc po prostu z niecierpliwości.

– Gdyby firma „Witajcie” dotychczas jeszcze egzystowała, no to ostatecznie rozumiałbym. Żadna firma, choćby nawet w samym Twerze, nie mogła wytrzymać z nią konkurencji. A teraz, co tu gadać, nie ma towaru lepszego niż mój. Nie próbuj pan nawet szukać gdzie indziej.

Hipolit Matwiejewicz odwrócił się z pasją, popatrzył chwilę gniewnie na Bezenczuka i przyspieszył nieco kroku.

Trzej właściciele „Nimfy” stali przed swym przedsiębiorstwem w tych samych pozach, w jakich Hipolit Matwiejewicz zostawił ich z rana. Wydawało się, że od tej chwili nie zamienili z sobą ani słowa, lecz uderzająca zmiana w wyrazie ich twarzy, skryte zadowolenie malujące się w oczach wskazywało, że do wiadomości ich doszła rzecz niesłychanie ważna.

Na widok swych konkurentów Bezenczuk machnął rozpaczliwie ręką, przystanął i rzucił szeptem za Worobianinowem:

– Oddam za trzydzieści dwa rubelki!

Hipolit Matwiejewicz zmarszczył się i przyspieszył kroku.

– Dam na raty! – dodał Bezenczuk.

Trzej właściciele „Nimfy” nie rzekli ani słowa. Milcząc, biegli za Worobianinowem, zginając się nieustannie w uprzejmych ukłonach i zdejmując raz po raz kaszkiety.

Rozwścieczony głupią natarczywością karawaniarzy, Hipolit Matwiejewicz szybciej niż zazwyczaj wbiegł na ganek, otarł nerwowo buty z błota i czując wilczy apetyt, wszedł do sieni. Naprzeciw mu wyszedł z pokoju pop z cerkwi Flora i Laura, ojciec Fiodor. Uniósłszy prawą ręką poły sutanny i nie dostrzegając obecności Hipolita Matwiejewicza, ojciec Fiodor, niezmiernie podniecony, spieszył ku wyjściu.

Wówczas dopiero Hipolit Matwiejewicz zauważył osobliwą czystość, niezwykle, bijący wprost w oczy bezład, powstały wskutek przestawienia nielicznych mebli, i poczuł silny zapach lekarstw. W pierwszym pokoju Hipolit Matwiejewicz natknął się na sąsiadkę, żonę agronoma, *madame* Kuzniecowa. Wymachując gwałtownie rękoma, syknęła:

– Jej stan się pogorszył, przyjęła sakramenty, przed chwilą odszedł ojciec Fiodor. Niech pan nie stuka obcasami.

– Ja nie stukam – odrzekł z pokorą Hipolit Matwiejewicz. – A cóż się stało?

Madame Kuzniecowa wydeła wargi i wskazała drzwi sąsiedniego pokoju.

– Bardzo silny atak sercowy.

I powtarzając cudze słowa, które wywarły na niej najwidoczniej silne wrażenie, dodała:

– Katastrofa nie jest wyłączona. Calutki dzień jestem dziś na nogach. Wpadłam tu rano po maszynkę do mięsa, patrzę, drzwi na oścież otwarte, w kuchni nie ma żywej duszy, w tym pokoju również nikogo nie ma, pomyślałam więc sobie, że Klaudia Iwanowna poszła chyba po mąkę na placek (wiedziałam, że miała taki zamiar). Bo to nie trzeba panu chyba tłumaczyć, że jeśli się mąki wcześniej nie kupi...

Jęk, który rozległ się w sąsiednim pokoju, uderzył boleśnie Hipolita Matwiejewicza. Przeżegnał się szybko zdrętwiałą nagle ręką i udał się do pokoju teściowej.

Rozdział 2

Zgon pani Pietuchowej

Klaudia Iwanowna leżała na wznak z rękoma splecionymi pod głową. Na głowie miała jaskrawomorelowy czepek. Kolor ten był ostatnim krzykiem mody w owych niepamiętnych czasach, gdy panie nosiły kogucie pióra i gdy zaczynał zaledwie wchodzić w modę argentyński taniec tango.

Twarz Klaudivy Iwanowny była uroczysta, lecz nic się na niej nie malowało. Wzrok miała utkwiony w sufit.

– Klaudio Iwanowna – szepnął Worobianinow.

Teściowa poruszyła wargami, lecz zamiast zwykłych dźwięków, przypominających głos trąby jerychońskiej, do których tak bardzo przywykł Hipolit Matwiejewicz, rozległ się cichy, słaby i tak żalony jęk, że serce Hipolita Matwiejewicza drgnęło boleśnie i łąza niespodzianie szybko błysnęła w jego oku i na kształt rtęci stoczyła się po obliczu.

– Klaudio Iwanowna – powtórzył Worobianinow – co wam dolega?

Lecz i tym razem nie otrzymał odpowiedzi. Stara przymknęła powieki i odwróciła się do ściany.

Do pokoju weszła cicho sąsiadka, wzięła Worobianinowa za rękę i wyprowadziła go z pokoju jak małego chłopczyka.

– Lekarz zabronił wszelkich wzruszeń. Mój drogi, niech pan tymczasem idzie do apteki. Oto kartka, proszę koniecznie zapytać o cenę pęcherzy do lodu.

Hipolit Matwiejewicz oddał się pokornie do dyspozycji pani Kuzniecovej, zdawał sobie bowiem sprawę z jej niezaprzeczalnej wyższości w tych sprawach.

Do apteki był spory kawał drogi. Hipolit Matwiejewicz zacisnął po sztubacku receptę w dłoni i wybiegł spieszenie na ulicę. Było już prawie ciemno. Na tle zachodzącego słońca odcinała się mizerna figurka mistrza Bezenczuka, który – oparty o sosnowe drzwi – posilał się chlebem i cebulą. Tuż obok przycupnęli trzej właściciele „Nimfy” i oblizując łyżki, zajadali z żelaznego garneczka gryczaną kaszę. Na widok Hipolita Matwiejewicza karawaniarze stanęli na baczność. Bezenczuk wzruszył pogardliwie ramionami i burknął pod adresem konkurentów:

– Pętają się tu wciąż; a niech ich jasny piorun strzeli!

Hipolit Matwiejewicz, którego zdenerwowanie już minęło, chodził zapamiętale po pokoju. Do głowy tłoczyły mu się same nieprzyjemne, związane z gospodarstwem myśli. Rozmyślał nad tym, że trzeba będzie zaciągnąć w kasie samopomocy pożyczkę, kłopotać się o popa i odpowiadać na kondolencyjne listy krewniaków. Aby się nieco rozerwać, Hipolit Matwiejewicz wyszedł na ganek. W zielonkawym blasku księżycy stał mistrz cechu karawaniarskiego, Bezenczuk.

– A więc, panie Worobianinow? – spytał mistrz cechowy, przyciskając do piersi kaszkiet.

– Ha, cóż robić... – ponuro odrzekł Hipolit Matwiejewicz.

– Czyż taka „Nimfa”, a niech ją jasny piorun strzeli, może zadowolnić klienta? – gorączkował się Bezenczuk.

– Do kroćset! A to piła!

– Przepraszam. Słoweczko jeszcze tylko wedle palm i polityry. Chyba pierwsza klasa? Co?

– Obejdzie się bez palm i bez polityry. Zwykła drewniana trumna. Sosnowa. Rozumiesz?

Bezenczuk przyłożył palec do ust na znak, że wszystko rozumie, po czym odwrócił się i mnąc w rękach kaszkiet, poszedł, zataczając się, do siebie. Wtedy dopiero Hipolit Matwiejewicz zauważył, że mistrz karawaniarzy jest kompletnie pijany.

Hipolit Matwiejewicz znów się pogрузzył w niewesołych myślach. Nie wyobrażał sobie po prostu, że będzie przychodził do opustoszałego, zaśmieconego mieszkania. Wydawało mu się, że wraz ze śmiercią teściowej znikną owe drobne wygody, z takim trudem osiągnięte po rewolucji, która ograbiła go z istotnych prawdziwych wygod. „Ożenię się chyba – pomyślał Hipolit Matwiejewicz. – „Ale z kim? Z bratanką komendanta milicji, z Barbarą Stiepanówną, czy też może z siostrą Urusisa? A może raczej przyjąć służącą? Ale, cóż znowu! Po sądach włóczyć mnie jeszcze gotowa. A i koszt niemały”.

Hipolit Matwiejewicz ujrzał nagle życie w czarnych kolorach. Pełen żalu i nienawiści do świata, wrócił do domu.

Klaudia Iwanowna przestała majaczyć. Leżąc wysoko na poduszkach, spoglądała na Hipolita Matwiejewicza zupełnie przytomnie i, jak mu się wydawało, nawet z pewną surowością.

– Hipolicie – szepnęła dobitnie – siądź koło mnie. Muszę ci powiedzieć...

Hipolit Matwiejewicz niechętnie posłuchał wezwania. Wpatrując się w wychudłą, wąsatą twarz teściowej, próbował uśmiechnąć się i dodać chorej otuchy. Ale uśmiech całkiem mu się nie udał, a słów otuchy nie mógł w żaden sposób wykrztusić. Ze ściśniętej krtani wyrwało mu się tylko parę nieartykułowanych dźwięków.

– Hipolicie – powtórzyła teściowa – czy pamiętasz meble z naszego salonu?

– Jakże? – zapytał Hipolit Matwiejewicz z uprzedzającą grzecznością, możliwą jedynie wobec bardzo ciężko chorych ludzi.

– Te... Obite angielskim kretonem...

– Ach, u mnie w domu?

– Tak, w Starogrodzie.

– Pamiętam, doskonale pamiętam... kanapa, tuzin krzeseł i okrągły stolik na sześciu nóżkach. Meble były pierwszorzędne. Gambsa robota. A czemu o tym teściowa wspomina?

Klaudia Iwanowna nie mogła odpowiedzieć. Twarz jej zaczęła z wolna nabierać ziemistego koloru. Hipolit Matwiejewicz poczuł nagle ni stąd, ni zowąd, że zapiera mu dech w piersiach. Uprzytomnił sobie całkiem plastycznie salon w swoim domu, rozstawione symetrycznie orzechowe meble na giętych nóżkach, wywoskowaną posadzkę, stary, brązowy fortepian i wizerunki dostojnych krewnych w czarnych, owalnych ramach.

Nagle Klaudia Iwanowna drewnianym, obojętnym głosem odezwała się:

– W obicie krzesła zaszyłam brylanty.

Hipolit Matwiejewicz zerknął nieufnie na starą.

– Jakże brylanty? – zapytał bezwiednie, lecz zaraz zorientował się. – Czyż nie zabrano ich wówczas, podczas rewizji?

– Zaszyłam brylanty w obicie krzesła – powtórzyła z uporem stara.

Hipolit Matwiejewicz zerwał się na równe nogi. Przyjrzał się uważnie kamiennej twarzy Klaudivy Iwanowny, oświetlonej ubogą naftową lampą i zrozumiał, że stara nie majaczy.

– Brylanty! – krzyknął, przerażony siłą swego głosu. – W krzesle! Któż to doradził? Czemu mnie ich mama nie dała?

– Czyż mogłam ci dać brylanty? Roztrwonileś przecież majątek mojej córki – rzekła ze złośliwym spokojem stara.

Hipolit Matwiejewicz siadł, lecz po chwili znów wstał. Serce gwałtownie mu biło. W głowie zaczynało szumieć.

– Lecz wyjęła je chyba teściowa stamtąd? Są tutaj?!

Stara przecząco poruszyła głową.

– Nie zdążyłam. Pamiętasz, jak szybko i nieoczekiwanie musieliśmy uciekać? Zostały w krzesle, które stało między porcelanową lampką i kominkiem.

– Ależ to szaleństwo! Wykapana córka! – krzyknął Hipolit Matwiejewicz donośnym głosem i nie licząc się już z tym, że znajduje się przy łożu konającej, odsunął z hałasem krzesło i zaczął biegać po pokoju.

Stara obojętnie obserwowała ruchy Hipolita Matwiejewicza.

– Czy teściowa ma choć blade pojęcie, dokąd te krzesła mogły zawędrować? A może wyobraża sobie, że stoją najspokojniej w moim salonie i czekają, aż przyjdzie po swe precjoza?

Stara nie odrzekła ani słowa.

Ze złości zsunęły się kierownikowi ZAGS-u binokle z nosa i mignawszy złotą oprawką, spadły na ziemię.

– Jak to? Wsadzić w krzesło brylanty wartości siedemdziesięciu tysięcy rubli? W krzesło, na którym nie wiadomo kto siedzi?!

Lecz w tej chwili Klaudia Iwanowna załkała i całym ciałem oparła się o brzeg łóżka. Ręka jej,

zakreślając w powietrzu półkola, starała się schwycić Hipolita Matwiejewicza, lecz natychmiast opadała bezwładnie na fioletową kołdrę.

Hipolit Matwiejewicz, wydając okrzyki przerażenia, pobiegł do sąsiadki.

– Zdaje się, że umiera.

Sąsiadka przeżegnała się z powagą i, nie ukrywając swej ciekawości, wraz z mężem, brodatym agronomem, pobiegła do mieszkania Hipolita Matwiejewicza. On sam zaś, oszołomiony, zawędrował aż do miejskiego parku.

I podczas gdy rodzina agronoma, wraz ze służącą, robiła porządki w pokoju zmarłej, Hipolit Matwiejewicz błądził po parku. Pozbawiony binokli, potykał się o ławki i brał zastygłe we wczesnej, wiosennej miłości parki za zwykle krzaki.

Co za cudenka działy się w głowie Hipolita Matwiejewicza! Szumiały tam chóry cygańskie, piersiste damskie orkiestry bezustannie grały tango; marzyła mu się zima moskiewska i czarny rasowy koń, parszkający wzgardliwie na piesznych przechodniów. Wiele rzeczy rysowało się w wyobraźni Hipolita Matwiejewicza: i pomarańczowe, olśniewające, drogie kalesony, i lokajska wierność, i możliwość wyjazdu do Tuluzji.

Chóry cygańskie umilkły.

Hipolit Matwiejewicz zwolnił kroku i naraz potknął się o ciało mistrza cechu karawaniarskiego, Bezenczuka. Mistrz spał, leżąc w kozuchu w poprzek ścieżki. Potrącony przebudził się, kichnął i raźnie wstał.

– Dobrze będzie, panie Worobianinow – powiedział z przekonaniem, kończąc jak gdyby zaczęta poprzednio rozmowę. – Trumna, panie, pracy wymaga.

– Klaudia Iwanowna umarła – oznajmił klient.

– Świeć, Panie, nad jej duszą – przytaknął Bezenczuk. – A więc zasnęła staruszka w Panu. Staruszki zawsze w Panu zasypiają albo Bogu duszę oddają. To już zależy od tego, jaka staruszka. Wasza, na ten przykład, mała i gruba, a więc zasnęła w Panu. A na ten przykład, gdy większa która i szczuplejsza, to powiadają, że Bogu duszę oddaje...

– Jak to, powiadają? Któż tak powiada?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI